

MNIJ WIĘCEJ (1 | 3)



Foto: Zofia Mikula

Strumyk i źródła

Tym razem felieton nietypowy. Poniżej moje posłowie do tomu wierszy Leszka Norda. Autor ten przypomniał się w sposób tak znakomity i nieszablony, że warto to nazwisko zapamiętać i śledzić.

LESZEK ŻULIŃSKI

Ktoś, kto śledził życie literackie co najmniej od lat osiemdziesiątych, pamięta być może nazwisko Leszka Stępnia, którego wiersze właśnie wtedy pojawiały się na łamach prasy. Teraz my, czytelnicy wierszy, znamy go jako Leszka Norda. Gdzieś nam po drodze przepadł; miał się różnych zawodów, w końcu przed laty wyłudował na Spitsbergenie i tam wiedzie żywot polarnika. Ale – jak widać – pióra nie utopił w przerębli. W roku 2011 w Zaulku Wydawniczym „Pomyłka”, wówczas jeszcze będącym „na dorobku”, ukazał się arkusz poetycki Norda zatytułowany *13 wierszy*. Ten nowy tom to już o wiele obszerniejsza prezentacja. Z gatunku tych, które rodzą się gdzieś na kresach życia literackiego, w ustroniu, w jakichś zaulkach outsiderstwa i dają mocny sygnał, że nie tylko *wszystko jest poezją*, ale także, że wszędzie jest poezja. A może tym bardziej na odludziu. Ja często zastanawiam się, ile w ogóle jest takich „Nordów”, o których mało wiemy, a oni przecież żyją, piszą i mogą w literaturze znaczyć więcej niż my, biorący się z nią za bary na codziennych tutejszych ringach i agorach.

No więc czytam ten zbiór w maszynopisie... On kompletnie „niepolarny”. Momentami nawet „tropikalny”. Ale o tym dalej...

Ten tomik jest wielce zwartą i przemyślaną konstrukcją. Pierwsze wiersze dzieją się jeszcze w okresie prenatalnym podmiotu lirycznego. Trochę tu pachnie *stajenką* – sytuacją archetypową, tym najistotniejszym prapoczątkiem „cywilizowanego” życia i losu. I to domostwo... Proste, skromne, jakby wyciosane siekierą Józefa Cieśli. W każdym

razie wszystko to sprowadzone do dekoracji elementarnych, pozbawionych jakiegokolwiek pejzażu późniejszej cywilizacji. Wszystko skupione na powolnym odrywaniu się od pępownicy i pierwszych krokach zrobionych od matki do ojca. Ale szybko przez ten początek przejeżdża tramwaj – w tym właśnie momencie świat tego tomu przestaje być sterylnie arkadyjski. Chyba minęło kilka lat, matka odeszła, ojciec popełnił samobójstwo; wsiadamy do pociągu i opuszczamy macecznik dzieciństwa. Wiążemy się z pierwszą kobietą, budujemy nasz pierwszy dom.

Dom jest niezbędny, aby pojąć bezdomność. Nasz solipsyzm, monadyczność, samotność; nasz „kosmosek” błakający się po bezbrzeżnym Kosmosie. Dobrze kiedy dom jest surowy i położony na skraju. Prosty – wyciosany lub uklejonny. Półki na książki zbędne – z książek *nie wynika, że góry chichoczą ze śniegu a gwiazdy dźwięczą o świecie*. Ważniejsza jest biocenoza Natury, czyli trzymanie się źródła, drzewa i trawy. Materii elementarnej i rudymenarnej – tego namacalnego substratu, który trzyma nas blisko ziemi, posiadającej sufit najistotniejszy: Niebo.

Rzeki... Niestety rzeki wysychają, ale jeszcze tu i ówdzie są – one prowadzą nas do źródła. Amnezja źródła może okazać się zwyrodnieniem. Niedostrzeżenie drzew, ptaków, ryb grozi tym, że sami sobie zbudujemy akwarium. I w nim się zatrzaskamy. Będziemy ustami coś mówić niepomni Słowa, które było na początku. Odmęty *porzuconych chęci* nasila mrok. W jego ciemnościach będziemy coraz częściej powtarzać sobie pytanie, czy od źródła płyniemy strumykami w dorzecza i delty, czy od morza – odwrotną drogą – do źródła.

W wierszu pt. *Miara* pojawia się na dobre ta Nordowa Arktyka. Skuta lodem, lecz przecież nie pozbawiona śladów Gilgamesza. Lecz przecież ona też ma brzegi, do których się zmierza. Przez odludnione połacie, w butach własnej samotności, tutaj szczególnie doznawanej. Czasami pojawi się jakiś Piętaszek, z którym my, Robinsonowie, doznamy braterstwa krwi. Ale koniec jest oczywisty. Może po wiekach odkopią nas spod ziemi, głazu czy lodu i pomyślą, że to początek lub koniec ich własnej historii. Jednak początku i końca nie widać. Przynajmniej tyle nam dane. Nawet jeśli nikogo nie zabijamy, to ocalamy tylko samego siebie – w tym wiecznym refrenie Czasu, w tym *perpetuum mobile* Natury, w tej karuzeli Bytu, która śmierć odmienia na Życie, skuwa wodę w lody, lecz zaraz roztopia je w strużki, z których ono wypływa i wypływa...

Co ja powyżej zrobiłem? Powyżej opowiedziałem wiersze Leszka Norda. Topornie, niemal dosłownie. Ale opowiedziałem też ich konsekwentną filozofię istnienia. Ich kosmogonię, ich wiarę w ład porządku odnawialnego. Ich mapę miejsca i drogi, którą gdzieś – po drodze – zgubiliśmy. Ich teorię koła zamachowego, którego paliwem jest Natura.

Jest póki jest.

Myślę, że to poezja *leibnizowska* w swych fundamentach. Jej *ego* jest wybitnie jednostkowe, wręcz *monadyczne*, „zainstalowane” w preuporządkowanej materii świata. Ale też cały sztafaż przyrody odgrywa tu ważną rolę: w krystalicznej perspektywie arktycznego pejzażu, dalekiej od *miasta, masy, maszyny* uprzytamnia nam obecną alienację, oddalanie się od źródeł oraz kalectwo współczesnej refleksyjności, która odrywa się od spraw rudymenarnej i „reizuje”, dehumanizując nasze tu i teraz. Co ciekawe, Nord nie łapie się ratunkowej deski religii. On postrzega szansę na powrót do harmonii w sprawach i sensach prostych. Propozycja aksjologiczna tych wierszy stawia tylko jeden warunek: człowiek współczesny musi obecny sztafaż industrialnego i zurbanizowanego świata, z całym jego pragmatyzmem i konsumpcjonizmem powiesić na takiej ścianie, która nie będzie nas odgradzała od źródeł i imponderabiliów fundamentalnych i uniwersalnych. Jest w tym wszystkim jakaś „egzystencjalna ekologia”. I horyzont, któremu poeta wyhamował postępujące zacieśnianie się, kurczenie.

Tak, myślę, że „ekologia” pojmowana jako osobliwa filozofia, rozszerzona na sferę ontologiczną, jest głównym motywem i głównym przesłaniem tego zbioru wierszy.

Leszek Nord, „Rozbitek”. Zaułek Wydawniczy „Pomyłka”, Szczecin 2014, s. 68.

Leszek Nord

Ryby

mgła zrosiła rżysko
w porannym świetle
połyskuje brzuchami ryb
pośród nich stoi ze zdumienia

słyszała że wczoraj
sieci rwały się pod ciężarem
że łodzie wypełnione po burty
ale nikt nie mówił
że pola zasiane rybami
jak zbożem

stąpa pomiędzy uważnie
najładniejsze zbiera
do koszy po kartoflach
za nią idzie syn
śmieje się bezgłośnie

